

# OKOLICA POETÓW

## MIESIĘCZNIK

R. I. — NR. 8.9

15 GRUDNIA 1935.



JÓZEF CZECHOWICZ: W MAJU  
FRANCISZKA ARNSZTAJNOWA: BEZBRZEŻNE DALEKIE  
IGNACY FIK: POPRZEZ MŁODOŚĆ  
STANISŁAW CZERNIK: POEZJA SPOŁECZNA  
ALFRED ŁASZOWSKI: ODCZUWANIE WIERSZA  
TADEUSZ JULJUSZ DEMCZYK: NOC NA PILICY  
CZESŁAW JANCZARSKI: SIERPIEŃ  
M. CZERKAWSKA: O PÓŁNOCY  
JERZY PIETRKIEWICZ: ŚMIERĆ  
JÓZEF STACHOWSKI: ŚWIT  
SEWERYN POLLAK: POŻEGNANIE LATA  
JAN BOLESŁAW OŻÓG: BOŻE CIAŁO  
WACŁAW IWANIUK: SOBÓTKI:  
ZBIGNIEW JASIŃSKI: ARCHIPELAG GALAPAGOS  
STEFAN NAPIERSKI: PRZEKŁADY  
RYSZARD MATUSZEWSKI: PRZEKŁAD Z A. DE NOAILLES  
GRZEGORZ TIMOFIEJEW: POLEMIKA Z ŁASZOWSKIM  
RECENZJE  
NOTY



REDAKCJA: OSTRZESZÓW (WLKP.), UL. POPRZECZNA 2.  
ADMINISTRACJA: OSTRZESZÓW (WLKP.), UL. ZAMKOWA 4.

I.

Brzozy stały w mokrej zieleni. Między ich smukłymi pniami paliło się ognisko. W mglistym poranku wydawało się złotą kometa, której dymny ogon sięgał daleko w pola, aż do samotnego dębu na miedzy.

Obaj kucnęli przy ogniu. Głuchy wyciągnął ręce przed siebie. Przez te ręce i nad jego głową dym przelewał się siwymi bryłami. W źrenicach, które przenosił razporaz od płomieni ku spętany koniom, również snuł się dym. Śmigły i drapieżny chłopak z drugiej strony ogniska opierał się plecami o brzozę. Drzewo miało korę naciętą. Do dzbanka splywała kropla po kropli oskoła. Chłopak był, jak tamten, w kurcie nieco przydługiej, spod której szarzała lniana koszula, zdarta na strzępy. Portki, również lniane i zdarte, sięgały mu ledwie do pół goleni. Ale nad temi łachmanami unosiła się twarz płękna, zuchwała, płomienna wśród brzoź od blasku ogniska.

Ten śmigły uśmiechał się sam do siebie. Przeciągnął się, wstał. Oczy pogoniły po świecie, wciąż jeszcze zamglonym. Błysnęło w nich, gdy nad resistemil trawami przeleciało rzenie.

— Ej, Jašku, Jašku, grzych — groził mu palcem głuchy.

Chłopak lekkim krokiem podbiegł do koni, zdjął pęta młodej klaczce, wskoczył na nią i kłusem wjechał w pobliski zagajnik.

Głuchy patrzył z nad ognia. Dym falował w jego ciemnych oczach. Widział wśród małych, rzadkich drzew nagość chłopaka, widział też sam grzech. Trząsał głuchą głową, żegnał się.

Tymczasem słońce wyszło wyżej, rozgoniło mgły, rosę wypilo. Płomień przyszał wyraźnie. Jałowcowe gałęzie paliły się teraz szaro i białe, nie czerwono. Jak gdyby spopielaly się bez ognia.

Konie rżały. Rzeka zaczęła prześwitywać za drzewkami zagajnika.

Chłopak wracał. Jechał wolno, bez kurty i koszuli. Miecz słoneczny upadł na niego spod chmur, niby promień łaski, więc grał blask na zuchwałej, smągłej twarzy i nieco bielszej piersi. Białe ptaki znad wody przeleciały ukosem.

— Grzych... grzych.. — szeptał głuchy.

Brzozy stały w obłokach młodej zieleni.

II.

Pod oknem kwitły maki. Potokiem płomienistym płynęły po zboczu ogródka ku płotowi, ku drodze.

Okno było małe, czteroszybowe, a te szyby przepalone słońcem i nierówne zniekształcały widok. Przez cały czas choroby, nie mając na wsi ani bliskich ani książek, spędzałem dnie na przyglądaniu się temu, co było na drodze. Bo w ogródku nic się nie działo. Niekiedy przelatowały wczesne motyle, niekiedy zaś wiatr kołosał maki.

Wskutek skaz i nierówności szkła widywałem na drodze konie z potwornemi jak u egzotycznych zwierząt szyjami, widywałem ludzi z głową długą jak tors, a wozy przejeżdżające falowały, co robiło wrażenie, że są to przedmioty z jakiejś bardzo lekkiej materji. Może z dymu.

Tylko chmurne od pewnego czasu niebo i płomienny zagon maków nie poddawały się zniekształceniom.

Tego dnia grzmoty było słychać od rana. Jedząc śniadanie ujrzałem błyskawicę, a nie było jeszcze dziewiętej, gdy gospodyni wystawiła w mojem okienku Częstochowską. Ciemny zwał chmur zbliżał się. Na horyzoncie już stała bura ściana ulewy.

Poprawiłem sobie bandaż i siadłem w pościeli, by jednak widzieć coś między obrazem a ramą okna.

Dzlecko jakieś przebiegło. Wiatr szarpał jego czerwoną sukłenczynę, tak samo, jak ogniście maki. Gęsiarek z witką w dłoni gnał swoje białe stadko. Wreszcie runęły fale deszczu, zmyły okno. Widzenie świała zmaćiło mi się ostatecznie. Jak spoza też dostrzegłem bite ulewą kwiaty. Zakołysał się na drodze pusty wóz drabiniasty, zaprzężony w potwornego konia, którego kontur sunął w deszczu, jak widmo. Woźnica okryty workiem trzaskał z bata

A ten bat wyglądał jak kanciasty zygzak. Wóz wjechał w nasze wrota. Słyszałem: ples ujadał. Po chwili mokry człowiek wszedł do sionki, zdjął tam worek i porzucił go pod ścianą. Potem przestąpił wysoki próg:

— Pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków — odpowiedziała gospodyni — Leje, co? Śladajciez...

— Bóg zapłać!...

Wyjął bibułkę i paczkę tytoniu. Skręcił papierosa, poślinił go, zapalił.

— A to wicie, klackę sołtysów pierun zastrzylił... tę gnładą...

Zamknąłem oczy. Nie chciałem już patrzeć na izbę, ani na błyskawice, które przecież tak bardzo lubię. Przypomniał mi się chłopak smagły, drapieżny i miecze spod chmur i uśmiech szczęścia i taneczne podrywanie kopyt. Z otchłani — a otoczyła mnie ona podstępnie, zagnała — usłyszałem znowu wrzask moich snów ołowianych. W gorączce upadłem na łóżko.

### III.

Tak dowiedziałeś się, Jaśku, jaki ma smak miejskie słowo „bezpownotnie“, które mówiłem ci, gdy tęcza drżała nad zagajnikiem.

## FRANCISZKA ARNSZTAJNOWA

### BEZBRZEŻNE, DALEKIE

Był już raz taki zachód.

Tonęła zwolna czerwień w ciemnym jarze,  
łubin u żółte świece w misternych lichtarzach

młodnym dymiły zapachem,

taksamo za miedzą pole seradell

bezbrzeżne, dalekie, morzem było słwem.

Jak cicho! Przyjacielu!

po morzu słwem, dalekiem, odpływa

bezgłośnie, z rumieńcem przedwczesnym wieczoru,

moje dziś, nasze wczoraj.

POPRZEZ MŁODOŚĆ

(fragment)

Do snu — zmęczone ciało światła.  
Gwiazd zwojujący rozłupał na chwilę stłoczenie kamieni i bloków.  
Jak zwykłą dłoń podałem uśmiech:  
sam wychylony przez okno.  
Wspięło się smukłe spojrzenie  
po dnia schylonym stoku.

Przez puch powietrza zantedbana postać  
nie chciała usiąść u boku rzeczy cieniem.  
Darmo prosiłem ręce:  
„sprawdźcie tych obłąkanych potoków korzenie!”

Ruch każdy jak dawniej dyszał szumem,  
ze skóry parował czuły wodospad czuwań —  
znałem każdą gwiazdę po włosach,  
jej trop, którym niebieską toń przetnie —  
lecz teraz chaos zachwały przesuwali  
w bieg migotliwych prześwietleń  
na inne miejsce — niebiosą.

Przestrzeń zaczęła gwałtownie podszewkę przerzucać,  
padał jak grad urwany błękit opięty wzrokiem,  
nie było drzew, któreby niebo podparły:  
runął dach:  
morze do góry głębokie.

Niebo jak sito ogromne ręce kolebia,  
syple się biały pył, biega echa,  
dno się obniża —  
siatka ogromna saku  
rwie się pod dziwnym trzepotem:  
schwytanych stworów, ryb dziwnych i ptaków —  
stopy łąd parzy, nagie biega kobiety po stepie,  
paw krzyczy, kot chodzi drabiną księżycą,  
góry olbrzymią fastrygą horyzont wiążą do sklepień,  
noc czarna jak lustro sens dziki przemycą —

Przez woń:  
woda w drewnianych konewkach,  
w których usta pijące falują kręgow tęczą:  
przeglądają dna stoje  
wilgotnych kół obręczą:

rzucam kamienie do głębokich studzień,  
pryskają zagnalone nurty —  
plusk:  
śmierć zabljanych światów.

\* \* \*

Wtedy oczy wzruszone ujrzały twarz suchą przygody  
w haft tkął się wyraźny monolog,  
dłonie obie podałem w przymierze,  
stopy zachciały biegu, zmęczenia i bólu.

Nadpłynął plan gęsty przeczuwanych wieści,  
w kształtach się zachwiał olbrzymich,  
wybuchły smukłe boki ucieczek,  
w chorągwie rozwiały się bujne przestrzenie.

Zapachł powietrzem zbyt wielkiem szalony ból głowy,  
stanął jak posąg stężały nurt ognia —  
— i skamieniałym łukiem  
przebljał mnie na wylot  
krzyk patroklowy.

Zachciałem zrozumieć —  
rozdmuchać na szybki wiatr mrok i zamęt,  
znać rzeczy bez cienia,  
bez tła:  
same.

Pójść nagi nad dnia krawędź  
odbić się wielkiej przygody drągiem,  
brzegi przesunąć,  
długi świat wyrwać z skóry widnokręgu,  
trzymając horyzont oburącz, przyciskać do piersi i brzucha,  
potknąć się choćby,  
ale nie puścić zdobyczy,  
leżeć  
przywalony łupu ogromem — — —

pożegnałem się z domem:  
nie mam domu.

— — —

plany mijanych ugorów zmeły się w miazgę powiek  
złudy zasłon zwały zsunęte przeszkody:  
— trudną jest rzeczą człowiek!

wpoprzek przez młodość wzburzoną i clasną:  
ja młody

## POEZJA SPOŁECZNA

Hasło poezji społecznej, niedawno jeszcze gorącymi literami wypisywane na tarczach niektórych zespołów poetyckich, nagle jakby zamarło, i to zaledwie po wydaniu pierwszego tchnienia. Naraz znikł „pionierzy”, zaczynający dumnie lecz beztrąsko od „Antologii poezji społecznej”, w której przedewszystkiem wskazywali na siebie, jako na najwłaściwszych przedstawicieli nowej rzekomo poezji społecznej.

Nagły, młodzieńczy poryw, gorączka zapoczątkowania, króciutki okres energii i bezsilność niewykończeń nawet pierwszego szkicu.

Tak się stało, ale nie ze wszystkimi. Pozostały jednostki uparte, które w odwrocie nie wzięły udziału. Z tego można tak sądzić: 1) idea była widocznie celna, jeżeli potrafiła rozpaścić umysły; 2) realizacja idei wymaga długotrwałego trudu, poważnej dyscypliny umysłowej, nie sprzyja łatwym triumfom; toteż młodzież lekkiego autoramentu, nastawiona na szybkie zdobycie wawrzynów, stwierdziwszy pierwsze trudności, odeszła szukać powodzenia gdzieindziej; 3) pozostali idą w rozsypce, klucząc, przewracając się po drodze, gubiąc się w mroku, ufając mirażom; idą, lecz niewiadomo, czy dobrze; czy nagle wbrew własnym i cudzym przewidywaniom, nie zawrócą z utrudnionej drogi; niektórzy z tych upartych już zawracają.

Idea poezji społecznej nie jest więc prosta i łatwa w urzeczywistnieniu. Może dlatego, że poziom kultury społecznej jest tak niski, że sens stosunków społecznych przedstawia się nam bardzo prymitywnie, że współczesny zmysł społeczny jest albo niewolniczo-wulgarny albo arystokratycznie-elftarny, a w jednym i drugim wypadku równy lub bliski kulturze pierwotnej.

I samo określenie idei, zdaje się, też wadliwe. „Poezja społeczna”. Przypuszczam, że pomysł takiego wyrażenia mógł powstać w czasie dużego zaniedbania kultury społecznej. Jest w tem jakaś usterka konstytucyjna. Leży w tem jakaś tautologia. Niewiadomo, jak to rozumieć. Niewiadomo, jakie cechy mają odróżniać „poezję społeczną” od „niespołecznej”. Konieczna byłaby przynajmniej jakaś umowa, konwencja, któraby pozwałała na właściwe stosowanie pojęcia poezji społecznej. Tak należałoby sądzić, ale tu znów nasuwają się zasadnicze wątpliwości.

Poezja, jako zjawisko estetyczne, pozornie leży dosyć daleko od zjawisk społecznych. Wysunięcie pojęcia poezji społecznej nasuwa przypuszczenie, że pewne zjawiska poetyckie mogą być równocześnie zjawiskami społecznymi lub na pewnym pograniczu w jakiś ściślejszy sposób łączyć się z temi zjawiskami. Otóż zasadnicze pytanie: czy poezja może być zjawiskiem społecznym? Tutaj nasuwają się właśnie poważne trudności, których całkowicie nie potrafię usunąć. Sądzę jednak, że można zaryzykować twierdzenie, że w pewnych okolicznościach poezja, nie tracąc właściwości odrębnego zjawiska estetycznego, może stać się równocześnie zjawiskiem społecznym. Zbliżając się do zagadnienia ostrożnie, trzeba próbnie ustalić, w których to okolicznościach poezja nabiera wskazanych właściwości. Przypuszczam, że możliwe byłoby to tylko w wypadku pojmowania zjawisk

poetyckich nie tylko jako przedmiotów, lecz także jako czynności spełniającej celem wywołania czynności innych ludzi. Rozumiem, że wydzielenie ze zjawisk poetyckich zjawiska czynności, działalności dążącej do wywarcia wpływu na postępowanie ludzkie, wygląda w pierwszym momencie może nawet sztucznie i podejrzanie. Ale to wypływa z naszych przyzwyczajeni pojmowania poezji tylko jako przedmiotu, gdyż ciągle zapominamy o genezie utworu poetyckiego, o tem, że powstawanie utworu, czynność artystyczna poety, jest także zjawiskiem poetyckiem. Zjawiska poetyckie to nie tylko zespół utworów określonego typu, lecz także zespół czynności, w wyniku których powstają utwory poetyckie. Utwór poetycki oczywiście nie jest zjawiskiem społecznym, może być tylko środkiem działającym na powstawanie lub modyfikację zjawisk społecznych. Pozostaje więc pytanie, czy drugi zespół zjawisk poetyckich — czynności artystyczne poety przy tworzeniu wiersza — mogą być równocześnie czynnościami społecznymi, a więc zjawiskami społecznymi.

Ta sprawa prowadzi nas do pojęcia czynności społecznej. Działanie pewnego człowieka lub grupy społecznej z zamiarem wywołania pewnego postępowania u innych ludzi — powie socjolog. Nie wiem, jakie jest ostatnie zdanie socjologii pod względem pojmowania czynności społecznej. Cokolwiek jednak postanowiono w zaciśniętej pracowni socjologicznych, dalekie jest jeszcze od uzgodnienia, a jeszcze dalsze od potocznego pojmowania działań społecznych. Naogół stosunek nasz do zagadnień społecznych jest jeszcze bardzo pierwotny. Jeżeli chodzi o czynność społeczną, w najlepszym, wyjątkowym wypadku pojmujemy się ją tak, jak swego czasu fizjokraci pojmowali produkcję. Potocznie, czynność społeczna to praca w jakiejś organizacji, zbieranie składek, wydawanie komendy, a nprz. pracę pedagogiczną rzadko kto określa, jako czynność społeczną. Postawić więc tezę, że czynność artystyczna poety w czasie tworzenia poematu może być czynnością społeczną — to narazić się na ośmieszenie i kpiny wulgarnych publicystów.

Stawiam jednak taką tezę, i rozszerzam ją nawet: — że czynność artystyczna poety może okazać się czynnością społeczną, nawet bez względu na to, czy autor działał z zamiarem wywołania przekształceń społecznych. Przyzwyczailiśmy się patrzeć na czynność społeczną, jak na komendę, wywołującą od razu pożądaną postawę innych ludzi. Lecz czynność społeczna może wywierać dopiero skutek po upływie czasu, i czas ten może biec w nieskończoność, a skutek zjawiać się wielokrotnie. Zwłaszcza czynności społeczne wyższego stopnia posiadają tego rodzaju właściwości. Mógłby kto zarzucić, że mieszam pojmowanie utworu poetyckiego, jako środka oddziaływań społecznych z czynnością społeczną. Dla uniknięcia możliwych nieporozumień powtarzam, że ciągle myślę o czynności, wytwarzającej ten środek przyszłych oddziaływań społecznych, i tę czynność artystyczną uważam za czynność społeczną, o ile kiedyś wytworzony środek użyty zostanie skutecznie do działań społecznych. To jest tak jak z produkcją, do której zaliczamy nie tylko nprz. proste wydobywanie węgla ale i jego przewóz z kopalni do innych miejsc.

Przypuszczam nawet, że w postawionej tezie tkwi jednak jakiś błąd.

Ale i w tym wypadku, teza ta, chociaż wadliwa, nie odbiegałaby zbyt daleko od istoty rzeczy. Poezja jest bardzo silnie i niemiłą złączona ze zjawiskami społecznymi, mogą w niej gromadzić się bardzo ważne wartości społeczne. Poezja w ogóle jest społeczna, jeżeli nie zawsze w bezpośrednim, to zawsze w pośrednim znaczeniu. Dlatego wyrażenie „poezja społeczna” posiada właściwości tautologii.

Niezależnie jednak od tej usterki, hasło „poezji społecznej” jest obecnie pozytywne i należy je podtrzymać. Hasło to, uwolnione od demagogii i szarlatanerii, może oddać poważne usługi w celowej pracy nad doskonaleniem kultury społecznej. Uczciwa praca poety, pojmującego swą czynność artystyczną jako funkcję społeczną, może wysuwać szlachetne ambicje najdoskonalszego spełniania tej funkcji, i takiego doboru środków artystycznych i materiału treściowego, by utwór poetycki stał się ważnym środkiem, przyczyniającym się do udoskonalenia życia społecznego. Oczywiście, szarlataneria i zerowanie łatwymi sposobami na hasło „poezji społecznej” tak pospolite niedawno i obecnie, jest nieodłączne w dłuższych czasach, jako przeciwstawienie się pracy prawdziwie twórczej. Istotnie twórcza praca społeczna poety czujnego i świadomego swej roli w budowie lepszej przyszłości, w budowie kultury społecznej, godnej człowieka, na doraźne triumfy liczyć nie może.

STANISŁAW CZERNIK.

## ODCZUWANIE WIERSZA

(REPORTAŻ KRYTYCZNY)

Czytam: Julian Przyboś. „Z Tatr”. — „Słyszę, jak kamienuję tę przestrzeń niewybuchy huk skał”.

Świst lecących kamieni, drży przestraszone powietrze, siania się przestrzeń omdlała, słychać furkot zdzieranej purpury na bliższym obrazku w dzieciństwie, żądzi kamienują Pawła! Widać przeraźliwą białość atmosfery, zastyga wciąż i błędnie przeszły obawą huku skał, na chwilę przed eksplozją. Każdy szczyt nabity potencjonalnym grzmiotem, ślany rozpieranym ciśnieniem od wewnątrz, już wzbiera wulkan gór podminowany. Jak prochownia wyleci w powietrze! Słuchamy świata, który jeszcze nie wybuchł, jeszcze się nie zaktualizował; to jest czekanie i ciągły wstrząs powietrza, kiedyż jeszcze wierzchołki wystrzelą!

Czytam: „Wrzask wody obdzieranej siklawą z łożyska i gromobicie ciszy”.

Woda kurczowo czepla się kamieni, nie chce spaść i runąć, nie chce skoczyć na dół, więc pieni się, kręci, zawraca dookoła głazów, skacze w miejsku, buzuje i kipi, omlajac stromy próg przepaści, a pęd pcha, porywa i niesie, pęd działa wodzie naprzeciw i zdziera żywioł czeplający się kamieni łożyska. Myślę sobie, czy ta emocja naprawdę jest liryczna, przecież podobne wzruszenia może dawać prozatorski opis w powieści.



Chociaż nie. Widzenie mimo wszystko okazuje się typowo poetyckie.

Jest w nim coś z odkrycia. Rozważmy: Pęd prądu pokonuje statyczny opór wody, przesywa ją, porywa, niesie i działa, jako sprawca ruchu. Woda w tym ujęciu nabiera cech materji Arystotelesa, staje się podłożem dynamicznych przekształceń. Przenika ją bowiem praca moc, pcha żywy nurt energii i ciśnienie naprzeciw oporom. Prąd gwałci wodę, rozpruwa ją, obdziera, nie pozwala przyrosnąć do dna.

A „gromobicie ciszy”? Liryzm tego określenia wynika z paradoksu: rodzi się w żywiołowym starciu sprzeczności, rzecz można dialektycznie wyzwolony z antytez. Przedtem huk był niewybuchy, teraz cisza ma donośność gromu.

Czytam dalej: „Ten świat wzburzony przestraszonym spojrzeniem uciszę — lecz nie pomieszczę twojej śmierci w granitowej trumnie Tatr”.

Czuję rozpięcie od wewnątrz, słychać ciśnienia pod ścianami skał; patrzę na mur białego domu, jego płaskość jest nierzeczywista, wydaje się nabyty i podminowany; prężność, oddech wezbrał już piersi, przerasta, mam ochotę zaraz wstać i chodzić, świat jest wielką prochnią, cisza w nim odbywa się tylko na niby, łąka chwila coś huknie, ziemia zacznie pękać, widzę rdzawe rysy, któż wyzwoli eksplozję kamienną?

„Nie pomieszczę twojej śmierci” Objętość wzruszenia rośnie, słup wysokiego ciśnienia w przelyku, trzeba wstać, powietrze unosi i rozpięta, każdy oddech tłoczy w gardle nabrzmiałem, krtani jest pełna zgęszczonego żaru, drga, chodzę tam i z powrotem, wiem, to jest liryzm i napad wzruszenia! Widzę bronz i marmur, złote słowa wyryte w kamieniu, przypomina mi się epigramat spartański, ta sama lakoniczność, wstrząsająca wymowa zwięzłości, potem zachwyty, że to można wyrazić tak krótko i świetnie.

Czytam dalej: „To zgrzyt czekana okrzęsany z echa, to tylko cały twój świat skurczony w mojej garści na obrywie głazu to gwałtownym uderzeniem serca powalony szczyt. Na rozpacz jakże go mało! A groza wygórowana”.

Okrzęsany z echa! Zafrapowała mnie świeżość tego określenia. Chcę wniknąć w jego mechanizm, wiedzieć dlaczego jest uderzająco trafne; czuję, że w nim zawiera się nowe usłyszenie świata, trzeba wpoić je w swoją wrażliwość. Próbuje znaleźć jakiś równoważnik. Jakże będzie? Wyzuty, pozbawiony echa.

To jest dramatyczne przeżywanie katastrofy od początku, jakgdyby na nowo w stanie emocjonalnego przeświadczenia, że stając z fatum jeszcze raz do walki, będzie można nieszczęściu zapobiec. Ono stało się już dawno przedtem i dlatego te poetyckie zapasy z przeznaczeniem mają w sobie coś greckiego. Bohaterowie tragedji antycznych zmagali się ze swoim losem, tak jakgdyby istniała dla nich jakaś szansa, mimo zgóry przesądnego rezultatu klęski. I tu także poeta kurczowo uczeplił się skały, cały świat, cały los drogiego życia dźwizży w zaciśniętej garści i bije sercem w szczyt, chce go powalić z pionu w poziom, uczynić bezpieczniejszym!

„Na rozpacz jakże go mało”. Uczucie znowu staje się czemś wy-

miernem. Przyboś konfrontuje wzruszenie ze szczytem i w ten sposób osiąga rozmiary doznania irracjonalnego.

A groza wygórowana! Te słowa zbległy się, zrosły, już nazawsze do siebie należą, między dwoma — przyciąganie wzajemne.

Dech zapiera absolutna doskonałość powiedzeń; poczucie, że oto mamy związek konieczny, jak prawa natury, jedyne i niepowtarzalne zespolenie wyrazów, których w tym wypadku nie można było celniej połączyć.

Któż tak w Polsce grozę z górami powiązał, kto odnalazł formułę przerażeń! Awangarda do epigramatu! Hasło: W każdym zdaniu przy-słowiowy wzór! Gdy w Jego teksty patrzę, czytelnik porwany surową oszczędnością słowa, siłą skrótu, liryzmem zwięzłości, wydaje mi się jak-gdybym oto wieczne prawo poezji odkrywał.

Czemże bowiem jest ta lapidarność wywodząca się chyba od epigra-matu, czem ton każdego wiersza, płynący jakgdyby z ciągłego odkrywania rzeczy ostatecznych, surowy ton i brzmienie, rzekłbyś lakoniczna formuła wzniosłości. „Przechodniu, powiedz Sparcie” albo: „Była niegdyś od morza do morza dziś być musi od dłoni do dłoni” (Peiper).

Tak jest. Gdy wielki poeta mówi o zjawiskach, wiersze jego stają się ich wzorem.

Czytam dalej: „Jak lekko turnię zawisłą na rękach utrzymać i nie paść gdy w oczach przewraca się obnażona ziemia do góry dnem kraj-obrazu niebo strącając w przepaść! Jak cicho w opuszczonej dłoni po-chować zamarłą”.

Widzę: Człowiek wyprężony w pion trzyma blok skalny na rękach, on jest punktem ciężkości tego świata, dzierży góry, — zawisłe na klamrach jego ramion, dłoni. Typowe dla Przybosia odwrócenie ról. Nie człowiek trzyma się stromej ściany szczytu, lecz ona ciąży mu na rękach. Znowu liryzm wyzwolony z dialektycznych przeciwieństw! A dalej: straszny prze-wrót świata, spadanie z ziemi w niebo, świst w uszach, łoskot, trzask i zachwyty aż przesywający, wzbija się w gardle prąd, gwałtowny podziw, że można było tak wyrazić, prężne powietrze dławi, ciśnienie strugą tkliwą. — Jak trudno wytchnąć zgęszczony słup liryzmu, już coraz więcej wzruszenia w całym ciele, tłoczy, rozsada krtań; teraz: czuję dygot poezji w przetyku, i wzbiera rytm, nareszcie samorodny, własny, tak daleki od nudziarstwa zwrotki...

Przed chwilą niespodzianka zaszła, to wiersz uderzył w sedno, wiersz zatrzęsł i ogłuszył. Czytanie, krytyka: ten proces spazmatyczny!

ALFRED ŁASZOWSKI

TADEUSZ JÓLJUSZ DEMCZYK

NOC NA PILICY

Jedwab płynnego ciała lgnie do moich źrenic  
rozwstężony w odbryzgach granatowym lasem,  
a pożarem zachodu, jak kulą płomieni  
dysk słoneczny na falach zamienia się w piasek.

Płynę. Nie ujmę dłonią, nie przemierzę wiosłem  
drzew, co cieniem na wodzie wydłużone rosną,  
iglaste swoje ręce nad rzeką uniosły,  
by szeptem z obu brzegów ukołysać do snu.

Włeczór osiadł na rzece czarnym kłębem ciszy,  
a miesiąc sponad boru śmiechem się zatoczył;  
w pobrzeżu, na głębini, coś pluszcze i dyszy —  
(śród rogatych zarośli strach ma wielkie oczy.)

Nurt w odblaskach wachlarzy ucieka i wabi  
obręczami w ornament przedzierzga się cudnie,  
z niewidu nadlatuje senny rechot żabi,  
by w porostach zieleni utonąć, jak w studni.

Na seledynie wody niiby czapka lisia  
legła pełnia — dziwaczny świętojański wianek,  
stary klasztor nad brzegiem przygarbiony przysiadł  
patrzac, jak poprzez rzekę skacze most drewniany.

Wyiskrzoną północą przepływam przez parów,  
gdzie krętą, czarną szyją Pillica się wciska,  
zagąszcze potężnieją, jak olbrzymia narośl,  
a świerki na milczących straszą usypiskach.

Spi wiosło — drzemle kajak. W czerń białym pojazdem  
płynąc, leżę z rękami rozwartymi nakrzyż,  
na wody wonnej łące szumią kwiaty — gwiazdy,  
na nieba ciemnej wodzie lśnią odbite. Patrzę.

Śnię. A gdy na przygroblu w burch wodorostach  
świł serce nieczłowieczą tęsknotą rozigli,  
jak zbudzona dziewczyna, wyprężywszy postać,  
rozczesuje Pillica długie włosy wiklin.

SIERPIEŃ 1932.

Z góry na łąkę zbiega wesoło ścieżka,  
pod górę dźwigniesz śmiech w zdyszanych ustach :  
tam i spowrotem.  
Ogród mydlane bańki dmuchawców troską gałęzi chroni,  
pod płótem  
schowek jeź ma :  
oto właśnie najszczęszone żdziwienie  
gdy gruda ziemi w jeża się zamieni.

Rok 1932 sierpień :  
księżyc w dmuchawcach pozapałał świeczki,  
na straży wioski stanęła wysmukle topola,  
i gdyby nas szelest nie przestrzegł,  
ktośby zobaczył mnie u twoich kolan.  
A księżyc poprzez gałęzie lipy zapytał o drogę do łąki.  
Tamtędy !  
Śmiech w trawach się zbłąkał...  
Tutaj ! tu !  
Z za topoli  
przykołysało żyto zapach pola  
cicho, ci . . . jeź rozmawia na ścieżce z księżycem.

M. CZERKAWSKA

O PÓNOCY

Boso bieżną rozczochrane dzwony  
wyprzedzając północ zrumienioną.  
Obudziły się łąny bezkształtnie.  
Czerwono.

Poderwały się kłosa ze sterty.  
W snopy wichur płomienie prasnął.  
Pełne kłosaów nlebiaosy i ziemia — —  
od zboża jasno.

Młóci wichur złoto — czarnym cepem  
pod stodoły żalobną powałą,  
zasypuje ziarnem rozgorzałem  
wieś białą.

Przy kościele krwawy kogut zapiał,  
zapłonila się wieżyczka błada  
i zaspany staw z trwogą wyjąkał:  
zdrada.

Aa — — dobiegły wreszcie dzwony domów.  
Lament skacze z chat w koszulach nocy — —  
dudni tętent spleniony, ognisty — —  
pomocy.

---

W burzany poruszane mlarowo,  
pod mętnie trzepoczące oski,  
parowem pełza nleznany człowiek  
gubiąc srebrniki.

## JERZY PIETRKIEWICZ

### Ś M I E R Ć

Na krzeselku jabłko obrane ze skórki w zapach,  
na oknie futryny z chłodu,  
za oknem po kałużach deszcz cziapał.

Nle pogoda.

Skierski umarł właśnie przed chwilą.

Podwojony w lustrze pokój zakryto czarną płachtą,  
Skierska zatrzymała ściekający po wahadle zegara dżdżysty czas,  
w kuchni ktoś z trudem ciemność zapałką płonąca rozchyłał,  
chód razem z zapałką zgasał.

Na szosie z turkotu wozów — bruk,  
gęsty deszcz jak płot wokół domu:  
szlachety ze smug.

Płachtą zakryte lustro twarzy trupa nle odbija na szkłe,  
stojący zegar był brzegiem czasu,  
poza nim wleczność.

Bez lustra i zegara było bardzo źle.

Sołtys we swąd żałobny gromnicę zagasił,  
dzłeci dotąd spokojne i grzeczne  
bać się zaczęły nagle widma wilkołaka.

U Skierskich zaczęto płakać.

JÓZEF STACHOWSKI

Ś W I T

W rosie poranków modrych bieleje len  
i drogi złożone nakrzyż pasami płótna mokną  
gdzies  
chaty kołysane bylicy chłodem  
ukłękły we śnie  
— tylko z za obór krowich oczu granat  
i łomot jabłek o sad — — —  
wkrótce zapaskę srebną zrzuci księżyc  
myjąc pod lasem śmiertelnie smutną twarz —  
poleje się mleko świtu.  
Swój dom jak orzech z łuski zmroku wyjmę,  
w złocie strzechy przegięty po słońce poblegnie:  
tam — niebo  
jak owoców dojrzałych kosz  
i drzewa upłęte w bukiet ptasich krzyków.  
Ostatni raz  
topola  
niły zielony dzwon  
ręciami gwiazd  
pobieleli głowę —  
potem  
rozwartych drzwi chałup  
dotknę wiatr  
czesząc jasne włosy  
ciepłych od snu pacholał.

SEWERYN POLLAK

POŻEGNANIE LATA

Kiedy karpie na stawie wystawią pyszczki okrągłe nad wodę  
I cieniutkim postawem zaczepi się deszcz o powierzchnię,  
Wówczas z łąk wiatr zapachy lebiody przyniesie i miodu,  
Skórę ciała wilgotną owleje, aż w łuskę opierzchnie.

Krowy wymion swych żagle jak barki ładowne poniosą,  
W mgłę błękitnej zmoczone olszyny rwać będą liście;  
Kropie wody w migocie kometa opadną na włosy,  
W pyszczki karpia pokarmem z góry opadną świetliście.

W rowie oczy nabrzmiate, różowe od płaczu, stokrotek —  
Wierzby sznury suplaste, cierpkie pochyla ku ziemi.  
Gorzki zapach młodości! Pokosy leżące pokotem  
Nagość pola okryją żdźbeł zagonami długimi.

Skąd ta nagle nostalgia za miejskim błyszczącym asfaltem?  
Deszcz nad drogą się rozpiął i ciężką zwiłł pajęczyną.  
Więc to wszystko przemienie — zostanie ten smutek i żal ten,  
Że październik na lipiec nicią namokłą się wspina.

JAN BOLESŁAW OZÓG

BO Ż E C I A Ł O

Słowo cichło i bladło, aż jedną ranę  
Położyło na lipowych organach.  
I była radość pliszek.

Śnieg kościanych klawiszy  
Cieszył się w drodze bżów rozległych  
I szerszenie ze spróchniałej biedy  
W allelujach.

Rdzeń czereśni od korzenia próchniał,  
A wskazywał każdą szypułką jagody,  
Że Syn był Boży.

Mur naliczył na cegły pokrzyw,  
Do serca wprosił świeżość jestonów młodych,  
Nim Ojciec chłopów do Hostji pozaganiał.

Gdy pachły od tulipanów ewangelijne kazania  
Czterem oltarzom wetkniętym w procesję, jak w obraz,  
Mur cegły w piwonje pokszone obrał.

Bladło Słowo i drugą ranę  
Położyło na lipowych organach.

WACŁAW IWANIUK

S O B Ó T K I

pleśń dna oplatają płynne wodorosty  
zaczepione u piersi —  
to odbija się łuk aniołów  
rozpierzchtych od zbudzonej pieśni

zatonione dziewice nurzają głos  
i barwy

i ramion ruchy —  
echo od drzewa do drzewa  
idzie i śplewa

od wiosł wodne panny rzucają smukłe palce  
na klawisze  
wyklinają słowa  
z dna  
i ciszy

u ramion wodne Ilje  
miesiące dzwonią północ  
zabobonne wgiłje  
otwierają pierzaste oczy  
na rzekę  
na noc

paprocie przykładają do twarzy rozpalone świętojańskie ręce  
po morze budzi się nów  
wyżej z gałęzi naręczu  
miljon pięciokątnych głów  
spływa z brzękłem na błonie

panny klaszczą w kolana  
i w dłonie

noc się robi słodkawa i szorstka  
pieśnią podpływa do gardła  
świt symbolicznym śplewem  
wschód targa

panny odpływają za bagna  
o poranku czerwonem bez czaru  
już pogasły ognie świętojańskie  
i ucichła melodia szuwarów

ZBIGNIEW JASIŃSKI

ARCHIPELAG GALAPAGOS

Oto objawień złych wiatr zadał:  
mały stateczek papierowy  
trysnąwszy masztów kolumnadą  
rozwiał się w bark tysiąctonowy.



Zielonoszumnym fał rozpędem  
wezbrała kipieli rozbełtana  
i papierowych snów legendę  
nakryła chłustem oceanu.

Lecz próżno szukać wyspy onej:  
dzieciłnych marzeń zwlewny kontur  
we mgle się rozwiął, pogrążony  
za mętną linią horyzontu.

Szwy popękały w żaglach starych,  
codziennosc wieje szarą flagą,  
niedosiężnego zginął zarys  
archipelagu Galapagos.

I chociaż bark tysiactonowy  
prawdziwe morze bruzdzi kilem,  
— mały stateczek papierowy  
do dna bezwolne maszty chyli.

## Z POEZJI FRANCUSKIEJ

### PRZEKŁADY STEFANA NAPIERSKIEGO

J. P. TEULET

\* \* \*

Och! czuję morze, gdy dygoce,  
Jak pierś kochanki,  
Która dyszy w puste poranki,  
W bezsenne noce;

Podmuch głuchy tłucze o molo...  
Coż! gdy mordercze  
Syreny śpiewy struły serce —  
Serce, boska niedolo.

Ach! to nie łyzy, na nurcie łuska,  
Mgłą zaszyły oczy...  
Nikogo. Jak z boku, co broczy,  
Deszcz ciepły pluska.

## FERDINAND MAZADE

### O K N O

Pozwól, stąpajmy ścieżką, niech pójde na przedzie,  
Gdzie wzrok się puści  
Połogiem zboczem wzgórza, skąd węzowo wiedzie  
Nad skraj czeluści.

Czyli nie będzie miło wśród gościńca cieni  
Między jałowce  
Kroczyć, gdzie w gruzach młyna, wśród bluszczów podcieni  
Usnęły owce?

Nie zechcesz-li wzdłuż strugi, gdzie listowie hoże  
Pełga, jak znicze,  
Płać się w dal, ku pobrzeżu, gdzie dygoce morze  
Srogo - dziewicze?

Jeśli wolisz wszelako sunąć w lazur płynny,  
Gdzie chmury biega,  
Wystarczy wzroku unieść przez jasne muśliny  
Okna widnego.

## JEAN MARC BERNARD

### DE PROFUNDIS

Z jamy czarnej, z rowu głębi,  
Wznosimy dziurawe dłonie,  
W których bagnet krwawy płonie  
O, Panie, jak lot goębil!

Ognia rdza, posuchy skaza  
Spaliła skronie, jak wióry;  
Zwalono na nie wichury  
Fal, płomieni i żelaza!

Widzisz nas w skorupie błota,  
Uschłych, jak proch, co się kruszy...  
Lecz czyś oglądał lech duszy,  
Dojrzał podmuch, co migota?

Wydrążyły nas boleści,  
Kres w majakach się oddala,  
Oto zalewa nas fala,  
Jako rozbitków bez cześci.

Oświeć serce, co przetrwało  
W szańcu, gdzie woda bulgoce,  
Rozedrzyj leje i noce  
Strasznymi skrami zapała!

Wypląć zółd boską zapłatą,  
Którym glina skleja rany.  
Martwym daj sen nieprzerwany:  
Panie! zasłużyli na to.

ANNA DE NOAILLES

PRZEKŁAD RYSZARDA MATUSZEWSKIEGO

WIZERUNEK

Umierający, biedny faunie  
niech mnie przestrzelą twe źrenice,  
i daj, niech zbłądzi moja pamięć  
pomiedzy cienie wiekuiste.

Idź, powiedz zamyślonym zmarłym,  
co się kochali w moich wdziękach,  
że marzę o nich pod cisami,  
gdzie chodzę jasna i maleńka.

Powiedz, jak czoło me wygląda  
i o wąziutkich moich ustach,  
wstążeczkach Inianych, palcach krągłych,  
pachnących trawą i ligustrem.

O ruchach mych im opowiadaj,  
że są lekkie i pełne zmiany,  
jak cień, którym kołyszą w sadach  
liście żywe i nieprzebrane.

Opowiesz im, że często mam  
powieki znużone i senne,  
że co wieczór tańczę i że wiatr  
plącze moją suknię z trenem.

Powiesz im, że zasypiam w splotach  
rąk nagich wokół głowy,  
że ciało me jest jak ze złota  
wśród żyłek fioletkowych.

Powiedz im, jak bardzo jest słodki  
błękit śliwy w moim warkoczu,  
me podobne zwierciadłom stopki,  
księżycowy kolor mych oczu.

I to powiedz, że w parny wieczór,  
leżąc w chłodzie, przy wodotrysku,  
próżno zapragnęłam ich pieszczot  
i dawałam cienie w uścisku...

## POLEMIKA Z ŁASZOWSKIM

W nr. poprzednim „Okolicy poetów” Alfred Łaszowski zatębił na alarm spowodu hipertrofji w liryce krajobrazu. „Zmuszeni jesteście wzbudzić protest i odwrót i alarm” — woła wspomniany krytyk. A wzmian proponuje — „związać liryzm z działaniem i akcją społeczną, polityczną, gospodarczą czy jakąkolwiek inną, wyrażać go za pośrednictwem konkretnych czynności i prac”. Może i słusznie. Ale...

Gdyby życzenie krytyków dało się tak łatwo realizować, wystarczyłoby pokrzykiwać hop! hop! a pokorny Pegaz biegałby po pożądanych drogach. Dość już liryki! I natchnione kopyta zwracają ku epice. Dość już... Dość? Tymczasem odczuwa się w tem wszystkim niedosyt przemyślenia.

Łaszowski zaledwie dotknął subtelnego kwiatu zagadnienia, a tu trzeba dobrze pomacać w korzeniach. Artykuł bez psycho-socjalnej analizy niczego nie wyjaśnia. O cóż chodzi? Wzruszenia poetyckie kształtują się w związku z rzeczywistością; współgra i współtętni tu ciągła zależność, ciągły ruch. Oczywiście, elementy przyrodnicze (widzenie krajobrazu) są w poezji nieodzowne i zasadnicze, ale nie da się zaprzeczyć, że w pewnych epokach czy chwilach elementy te ulegają natężeniu lub osłabieniu. Przykład: romantyzm i pozytywizm.

Chodziłoby o wykrycie i wyjaśnienie współczesnej zależności między elementami przyrodopisarstwa a poezją. Łaszowski coś jakby napomyka: „Ustawiczne lokowanie wzruszeń na drzewach, wzgórzach, zawieszanie ich na byle gałęzi dowodzi właściwie spacerowego stosunku do rzeczywistości, dziwię się, że marxiści tego dotąd nie zdemaskowali”. Otóż stosunek ten jest niewątpliwie głębszy aniżeli „spacerowy”. A po drugie: marxiści to już dawno „zdemaskowali”, tylko że Łaszowski odnośnych prac nie czytał. Podaję dwie kapitalne pozycje. 1) K. Fiedin, Flet, Materiały k charakterystyce, 1925. 2) D. Błagoj, Żiźń i twórczość Tiutczewa (art. pomieszczony jako wstęp do dzieł Tiutczewa w wyd. Academii 1933). W obydwu wypadkach wspomniani krytycy przeprowadzają analizę danego krajobrazu i wykrywają stosunek klasowy poety do oplewanej przyrody.

Nie jest to wulgarnie „demaskowanie”, ale poprostu rzeczowe stwierdzenie, że ten stosunek istnieje. W zależności od tego przyrodę odczuwa się mniej lub bardziej. Gdy chodzi o naszą rzeczywistość poetycką lub ściślej mówiąc jej rodowód socjalny, to większość młodych poetów wywodzi się ze wsi, reprezentuje typ drobno-mieszczański — ze świeżą tradycją sielskości. Pierwsze lata naszej niepodległości, gorączka inflacji i odbudowy zdawały się zapowiadać rozwój miasta i przemysłów. Rozbrzmiewające hasła urbanizmu uwodziły nietylko J. N. Millera, Miecz. Brauna ale i Przybosią. Lata późniejsze wykazały niedostateczność tego procesu jako dziejowo-społecznego i złudność urbanistycznych haseł. Większą żywotność objawiła wieś. Z okrzykiem „chłopy idą!” pojawili się synowie chłopscy przeważnie kułaccy — ale do literatury i kultury miejskiej nie wnieśli swojego odrębnego wyrazu jako antytezy kulturalnej. Wsiakli w panującą kulturę lecz po wsi pozostał im elegijny, wspomnieniowy stosunek. Stąd

ciągłe „wycieczki na wieś“, wycieczki, odbywające się mimowoli podświadomie. Wynikła z tego inflacja sielanki, gałęzi, krów...

I narazie nie zapowiada się większa zmiana. Wprawdzie mamy poezję urbanistyczną i robotniczo proletarjacką, ale niewątpliwie urbanizacja kraju została powstrzymana. Ostatnie fronty do wsi podzłajają chyba na rozbudzenie chłopstwa i znowu zaleją literaturę życiorysami krowy...

Widzimy więc, że hipertrofia krajobrazu w naszej liryce ma b. ważkie socjalne przyczyny i tego nie da się zmienić zapomocą literackich haseł. Zagadnienie jest o wiele bardziej skomplikowane; nie trzeba upraszczać, nie trzeba stwarzać pozorów łatwości. Tą drogą tworzy się tylko jeszcze jedną doktrynę. A naprawdę: dosyć już doktryn. Niech każdy pisze tak, jak mu to jego osobowość dyktuje. Poeci dzisiejsi mówią o wsi i krajobrazach, bo te elementy czują w sobie socjalnie. Co zaś do „poezji czynu“, to dzieje się u nas zamało, aby mogła ona w sposób spontaniczny powstać. Ostatecznie, wolę szczere liryki sielskie Przybosa niż wymuszone „Gdyniostroje“ Tuwima. Piszmy tak, jak czujemy — z krwi i kości.

GRZEGORZ TIMOFIEJEW.

## NOTY

**APEL DO POETÓW.** Alfred Łaszowski opracowuje syntetyczny szkic o awangardzie. W związku z tem prosi wszystkich poetów zainteresowanych o łaskawe nadsyłanie zbiorów poezji pod adresem: Warszawa, Kredytowa 16 m. 30.

**TADEUSZ JULJUSZ DEMCZYK,** autor „Owocobrania tajemnego“ i „Wichrów republikańskich“, pracuje obecnie nad publikacją o nowej poezji i prosi za naszym pośrednictwem o nadsyłanie mu nowych i dawniejszych wydawnictw poetyckich pod adresem: Warszawa, Pierackiego 13 m. 29.

**KONKURS.** Zgodnie z zapowiedzią, umieszczoną w numerze poprzednim, ogłaszamy konkurs na tomik wierszy. Warunki konkursu następujące:

1. Konkurs przeznaczony jest dla poetów debiutujących.
2. Prace, przepisane czytelnie (pożądane maszynopisy), należy przysyłać do redakcji „Okolicy Poetów“ do dnia 1 lutego 1936.
3. Objętość tomiku w przybliżeniu powinna odpowiadać objętości pojedynczego numeru „Okolicy“, t. zn. około 1000 wierszy.
4. Konkurs nie jest tajny. Można nadsyłać prace zaopatrzone nazwiskiem autora. Uczestnicy konkursu mogą jednak nadsyłać prace bez ujawnienia nazwiska. W tym wypadku należy załączyć w zapieczętowanej kopercie kartkę z nazwiskiem i adresem autora.
5. W nadsyłanych zbiorach mogą być wiersze drukowane poprzednio w czasopiśmie. Uczestnicy, korzystający z tajności, nie mogą jednak włączać do zbiorów utworów już ogłoszonych.

6. Nagroda będzie jedna i niepodzielna w postaci wydania nagrodzonego tomu nakładem „Okolicy Poetów” jako następnego numeru „Biblijoteki”. Tom wydany zostanie w 200 egzemplarzach, które w całości pozostaną własnością autora.

7. Przewiduje się wyróżnienia. Tomiki wyróżnione będą mogły ukazać się w „Biblijotece Okolicy Poetów”, ale kosztem własnym autorów.

8. Skład sądu konkursowego zostanie ogłoszony w numerze następnym.

6. Rozstrzygnięcie konkursu zostanie ogłoszone najpóźniej w numerze z datą 15 kwietnia 1936.

7. Wydanie nagrodzonego tomiku nastąpi w ciągu dwu miesięcy od daty ogłoszenia wyniku.

8. Nadsyłane prace powinny być należycie opłacone. Zwrot prac może nastąpić w ciągu miesiąca od dnia ogłoszenia wyniku, po nadesłaniu odpowiedniej ilości znaczków pocztowych. Prace nieodebrane zostaną zniszczone. Uczestnicy konkursu, żądający osobnych wyjaśnień, proszeni są o nadsyłanie znaczka pocztowego na odpowiedź.

RECENZJE z najnowszych wydawnictw poetyckich: Stefana Napierkiego „Ziemia, siostra daleka”, Stanisława Ryszarda Dobrowolskiego „Powrót na Powiśle”, oraz Stanisława Piętaka „Legendy dnia i nocy” ukazać się w najbliższych numerach „Okolicy”. Również ze względu na brak miejsca w niniejszym numerze musieliśmy przenieść do następnego działu „Poezja w Czasopismach”.

NINIEJSZY NUMER zamyka tom pierwszy „Okolicy”. Każdy tom „Okolicy Poetów” będzie się zamykał z chwilą przekroczenia 200 stron druku. W celu ułatwienia przeglądu treści dajemy na końcu skorowidz umieszczonych utworów. Ponieważ „Okolica” wychodzi w bardzo ograniczonej ilości egzemplarzy, tom pierwszy będzie wkrótce rzadkością bibliograficzną. Ze względu na wyczerpanie pierwszego i drugiego numeru mamy do odstąpienia tylko dziesięć kompletów tomu pierwszego. Kompletu te sprzedamy tylko nowym prenumeratorom w cenie 6 zł.

ZAMYKAJĄC TOM PIERWSZY, dziękujemy wszystkim autorom za bezinteresowną współpracę. Jeżeli „Okolica Poetów” znalazła poparcie czytelników i nielicznych jeszcze ale wiernych przyjaciół, jest to ich dziełem. Zwracamy się ponownie do wszystkich poetów o dalsze skuteczne współdziałanie. Prosimy też tych, którzy stoją od nas zdaleka i oceniają nas według ilości popelnionych błędów, by zechcieli zbliżyć się do „Okolicy”, kładąc dotychczasowe usterki na karb nie tylko niedoświadczenia redakcji, ale także trudności wydawania pisma poetyckiego w odległym, prowincjonalnym miasteczku.

# SKOROWIDZ

## PIERWSZEGO TOMU „OKOLICY POETÓW“

### UTWORY ORYGINALNE

Arnsztajnowa E. Bezbrzeżne		Jastrun M. Łódź . . . . .	34
dalekie . . . . .	195	— Świat mnie przerażał . . . . .	89
Bąkowski St. Dłaczego . . . . .	10	— Pociemniały drzewa . . . . .	152
— Lekkomysłny lot . . . . .	94	Jaworski K. A. Gwiedzna elegja . . . . .	32
Bielecki. A. To będzie miejsce . . . . .	91	Kott J. Powrót Eurydyki . . . . .	35
Bocheński T. Lotnik . . . . .	136	— Oczy otworzyć . . . . .	136
Brzechowski J. Zamknięty wjazd . . . . .	129	Lec J. St. Noc . . . . .	102
Czechowicz . . . Nienazwane nie- jasne . . . . .	89	Łopalewski T. Rozmowa z tal- mudystą . . . . .	56
— W boju . . . . .	178	Machtinger L. Włóczęgi . . . . .	131
— W maju . . . . .	194	Madej A. Pogrzeb ojca . . . . .	11
Czereśniowski W. Rozwalają płot . . . . .	134	Matuszewski R. Budapeszt . . . . .	60
Czerkawska M. O północy . . . . .	204	— Powietrzny niestatek . . . . .	182
Czernik St. Czas wojny . . . . .	14	Mikułko A. Białoruś . . . . .	156
— Czerwonogród . . . . .	105	Młodożeniec St. Wiater . . . . .	38
— Elegja jesienna . . . . .	156	Mrozowski w. Sponad horyzontu . . . . .	61
— Fragment . . . . .	185	— Nad Narwią . . . . .	158
Czuchnowski M. Śmierć i po- wódź . . . . .	8,93	— Kuszenie . . . . .	183
Dobrowolski St. R. Powrót na Powiśle . . . . .	92, 154	Napierski St. Pod noc . . . . .	32
Domirski H. Wspomnienie . . . . .	135	— Przedwiośnie . . . . .	97
— Srebrny czas . . . . .	151	— Chleb oraz gwiazdy . . . . .	128
Demczyk T. J. Noc na Pilicy . . . . .	203	— Do pułkownika Godeb- skiego . . . . .	176
Dziubon Koterba Z. Rozma- wiamy . . . . .	181	Olechno J. Dzisiaj . . . . .	180
Fik J. Tak samo . . . . .	57	Ożóg J. B. Dzień św. Barto- mieja . . . . .	19
— Poprzez młodość . . . . .	95, 196	— Z okna . . . . .	19
— Słowa . . . . .	158	— Leżę w trawie . . . . .	19
— Metafizyka . . . . .	179	— Po burzy . . . . .	59
Flukowski St. Wojna . . . . .	90	— Moja fotografia . . . . .	159
Folejewski Z. Miasto . . . . .	97	— Wieczór . . . . .	183
Gorycz A. Pożegnanie . . . . .	160	— Boże Ciało . . . . .	207
Gatczyński K. I. Apollo . . . . .	127	Piechal M. W drodze . . . . .	10
— Wiersz dla pana Dolbniaka . . . . .	57	— Groby . . . . .	56
Hertz P. Droga . . . . .	13	— Norwid w Paryżu . . . . .	176
— Poemat . . . . .	130	Pietrkiewicz J. Ziemia Do- brzyńska . . . . .	102
Hofer H. Równanie . . . . .	98	— Prowincja . . . . .	159
Iłtakowiczówna K. Obręcz słów . . . . .	30	— Śmierć . . . . .	205
Iwaniuk W. Cisza poety . . . . .	64	Pietrzak W. Nad brzegami . . . . .	36
— List . . . . .	64	— Cieszyn . . . . .	130
— Wrzesień . . . . .	184	— Echo dolinom . . . . .	180
— Sobótki . . . . .	208	Piętka St. Ziemia odplywa na zachód . . . . .	7, 103
Iwańska A. Dwie maksymy . . . . .	28	— Wyznanie . . . . .	54
— Serwatulowaty wiersz . . . . .	18	— Mit młodości . . . . .	133
— Słowa o słowach . . . . .	18	Pigwa Sz. Do St. M. . . . .	58
— Niewiadome . . . . .	60	Pollak S. Pożegnanie lata . . . . .	206
— Na Krywanju . . . . .	132	Przyboś J. O grosz . . . . .	30
Janczarski Cz. Kwitnienie żyta . . . . .	13	— 4 piętra . . . . .	31
— Lato na wsi . . . . .	132	— Cień . . . . .	152
— Sierpień . . . . .	204	Putrament J. Bal . . . . .	98
Jasiński Z. Gorączka . . . . .	100	Rzeczyca A. Beskid . . . . .	153
— Archipelag Galapagos . . . . .	209		

Stachowski J. Zbuntowany wiersz . . . . .	184
— Świt . . . . .	206
Staff L. Zachód jesienny . . . . .	2
Slobodnik W. Piosnki bez rytmów . . . . .	99
Szajdak St. Chcę . . . . .	42
— Mój stół . . . . .	42
— Wołyński las . . . . .	42
Świeżawski L. Monreale . . . . .	58
— Powinnaś mi być . . . . .	155
Terlikowska G. Buduję dzień . . . . .	109
— Wyjdiesz niebu . . . . .	109
— Oddajcie mi . . . . .	157
Timofiejew G. Śmierć deszczu . . . . .	9
— Zasłyszane . . . . .	59
— Don Kichot . . . . .	177
Turczyn St. Południe . . . . .	40
— Kiedys szczęście . . . . .	41
— Dzieciństwo . . . . .	41
— Rano w Gdyni . . . . .	138
Tuwim J. Rząd . . . . .	54
Weintraub K. J. Ballada . . . . .	187
— Rozmowa z Georgiem Traklem . . . . .	188
Zagórski J. Antoprucie . . . . .	50
Żytko M. Wspomnienie . . . . .	110
— Ogród w nocy . . . . .	110

## PRZEKŁADY

Bernard J. M. De profundis . . . . .	210
Duhamel J. Podobizna . . . . .	62
Hamsun K. Wyspa śród szer . . . . .	186
Horacy. Pochwała kochanków . . . . .	107
— Pobożność . . . . .	197
Jamnes F. Zbudziłeś się, Dawidzie . . . . .	62
Krleża M. Śmierć ptaka . . . . .	37
— Marszałek Kuroki . . . . .	37
Luschnat D. Spotkanie . . . . .	16
— Dwugłos . . . . .	17
Małaniuk E. To nie był bój . . . . .	186
Mandelsztam O. Oto niesione dary . . . . .	63
— Gdy na czółenku . . . . .	63
Mazak F. Okno . . . . .	210
Morgenstern Ch. Czajka . . . . .	105
— Kostka . . . . .	106
— KM 21 . . . . .	106

Neisse - Herrmann M. Piosnka z wieczora . . . . .	160
Przedmioty . . . . .	160
de Noailles A. Wizerunek . . . . .	211
Rilke R. M. Dzieciństwo . . . . .	162
— Noc księżycowa . . . . .	163
— Przymnienie . . . . .	163
Toulet J. P. Och, czuję morze . . . . .	209
Traki G. Jesień samotnych . . . . .	161

## ARTYKUŁY

Bąkowski St. Odpowiedź na ankietę . . . . .	83
Brocki J. Czytelnik ma głos . . . . .	114
Brzękowski J. Odpowiedź na ankietę . . . . .	124
Czechowicz J. Odpowiedź na ankietę . . . . .	85
Czernik St. Styl w liryce . . . . .	3
— Dialog o liryce . . . . .	26
— Kroki ku epice . . . . .	50
— Fantazjotwórstwo poetyckie . . . . .	74
— Odwracanie tez . . . . .	146
— Ataki na autentyzm . . . . .	173
— Poezja społeczna . . . . .	198
Czuchnowski M. Odpowiedź na ankietę . . . . .	125
Flukowski St. Odpowiedź na ankietę . . . . .	122
Jastrun M. Odpowiedź na ankietę . . . . .	87
Łaszowski A. Potrzeba takiej krytyki . . . . .	149
— Już dosyć krajobrazów . . . . .	170
— Odczuwanie wiersza . . . . .	200
Napierski St. Odpowiedź na ankietę . . . . .	79
Pelper T. Odpowiedź na ankietę . . . . .	82
Piechal M. Odpowiedź na ankietę . . . . .	79
Piętak St. Odpowiedź na ankietę . . . . .	172
Przyboś J. Odpowiedź na ankietę . . . . .	81
Rudnicki M. Uwagi czytelnika . . . . .	163
Timofiejew G. Polemika z Łaszowskim . . . . .	212